№ 33.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 19. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

ROZWIEDZIONA.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

III.

W salonie jenerałowéj suto, bogato, towarzystwo żwawe, strojne, częścią zgromadzone w półkole naprzeciw sofy, na któréj siedząc gospodyni domu, ożywiała rozmowę przytomnych, częścią rozrzucone w mniejsze i większe koła. Przez rozwarte na oścież podwoje biło światło z dotykającéj sali i ciągle przebiegały pary w takt żwawéj galopady, któréj melodya nieraz przegłuszała rozmowy. W półkolu owém i jego uzupełnieniu przez stojących po za krzesłami mężczyzn, rozmawiano jak zwyczajnie, o dziennéj pogodzie, o spacerze południowym, na którym była większa część przytomnych osób. Wzajemne oświadczenia grzeczności, wesołości z widzenia się, lekkie wspomnienia o ubiorach, modach, o jutrzejszéj pogodzie i proroctwa z nią połączone, stanowiły osnowę salonowéj rozmowy, która z ust do ust jako motyle przelatywała. W tém wymówiono nazwisko »Miączyńskiéj.« Pan Siwicki, zatrudniony doszeptywaniem postrzeżeń pewnéj przed nim siedzącéj Damie, która ciągle uśmiechała się, wymówił to imie na pozór bez zamiaru, ale z pewnym złośliwym przyciskiem. Imie to wywarło na przytomnych wielkie wrażenie. Przez minutę nikt słowa niewymówił; ale za to poglądano po sobie, dając znać przez to, by ktoś zaczął rozmowę. Tę śmiałość, jeżeli ją tak nazwiemy, — okazał Siwicki. Udając, że mówi bez zamiaru, i więcéj zwrócony do owéj Damy niż do towarzystwa, półgłosem tak rzekł: — »Pani zapewneś uważała, iż pani Miączyńska cokolwiek smutno wyglądała. Na honor, widziałem na twarzy ślady zgryzoty, lubo niepojmuję, jak mając męża takiego, jakim jest Miączyński, może taką okazywać twarz zasępioną. Pani Miączyńska jest jak wiadomo fantastyczną kobietą; ciągle buja we wyższych sferach, i chciałaby życie i świat z obłoków i snów swoich wykroić.«

Mówca odetchnął sobie po tak dowcipném spostrzeżeniu — dodać jednak należy, że było ono właściwie wyczytane z świeżo wydanego pisma peryodycznego, — potém pojrzał z miną tryumfatora po zgromadzeniu, chcąc zebrać poklask i podziwienie, jakie dowcipowi przeczytanemu przypisywał. Nikt przecie dotąd nieśmiał wystąpić z tém, co mu właściwie serce tłoczyło. Siwicki przeto trącił nieznacznie Mrozewicza stojącego obok niego, bo tak się zrana ułożyli, by mu przyszedł w pomoc. Ten też nieomieszkał rzecz daléj prowadzić:

»Pani Miączyńska żyje według zasad. Nic niemówi, nic nieczyni, coby się z jéj teoryami niezgadzało. I jak wybornie umiała naszego Władysława nawrócić! Został przy niéj pustelnikiem, zaledwie widzi światło dzienne. Zasady, teorye, są to piękne, śliczne rzeczy, ale.... na honor....«

Szkoda, że pan Mrozewicz niemiał lepszéj pamięci; temu błędowi przypisać należy, że nigdy niemógł przyjść z tém do końca, co chciał właściwie powiedzieć, i nie tak, jak Siwicki, kończył z wyuczonym i przekonywającym zwrotem retorycznym. Pod temi uciętemi, z bojaźnią wymówionemi słowami: »zasady, teorye,« niejeden szukał coś skrytego i znalazł dziwny skarb dowcipu i delikatnych wzglę-

dów, które przed Damami niewolno było daléj wywodzić. Jedna ze starszych skinęła głową na znak pochwały i rzekła:

„Dla czego pani Miączyńska unika wszystkich towarzystw! Ostatniéj zimy bywała tu i owdzie, teraz zaś zamknęła się w swoich pokojach nakształt zakonnicy. Dla czego ucieka przed światem? A chociaż znajduje w tém nowém małżeństwie więcéj szczęścia niż dawniéj, to przecie niepowinna szczęścia małżeńskiego na tém zakładać, by ciągle z mężem przebywać tylko, i ciągle go ukrywać przed znajomymi i przyjaciołmi! Ja zupełnie się zgadzam z panem Mrozewiczem, że takie teorye fantastyczne mają swe dobre i złe strony!«

„Biedny Władysław, rzekła inna Dama — powietrze w pokoju zamkniętym bardzo mu szkodzi! Wygląda chorowito i smutnie!«

„Nieśmie, zawołała trzecia, — ani pojrzeć po świecie, jakoby się wstydził, że jest znaglony zaniedbywać dawne mu mile towarzystwa.«

Te wymówione słowa były dla niektórych przytomnych tak przykre, że wielu chcąc ukryć niechęć swoją, oczy i twarze jakby w skutek zadumy pospuszczali. Pan Siwicki przecie tém się nieustraszył, a jako zręczny wojownik, to chwilowe zakłopotanie użył na wysadzenie najcięższéj miny. Zawołał: „i pana Morsztyna tracimy. Opuszcza miasto i okolice. Sądzę, że to w skutek cierpień serca. Jego znajomi mówią z obawą o jego słabości. Zmiana powietrza może mu pomoże.«

Gospodyni domu niebardzo się gniewała o ten przedmiot rozmowy. Zwrot jednak ostateczny mógł się zakończyć niebezpiecznie, a przynajmniéj nieprzyjemnie, przeto jako doświadczona kobieta, postanowiła przerwać tok rozmowy w ten sposób:

„Oczekuję co chwilę państwa Morsztyn. Przyjęli zaprosiny i bardzo z tego się cieszę.«

Przypadek zdarzył, że w téj chwili weszła pani Morsztyn do pokoju, jéj wzięcie się było jeszcze pewniejsze, sprężystsze niż dawniéj, wiedziała, iż jéj przybycie bez męża tysiąc ukrytych pytań, podziwu i ciekawości wywoła, i dla tego skupiła całą siłę swojéj przytomności. Stała się panią burzy, która dziś poruszyła jéj krew aż do najgłębszych tajników serca. Walka, którą stoczyła, pozostawiła jeszcze drzenie w jéj spokojném wilgotném oku. Cierpienia i zwątpienie jéj duszy niepozostawiły na jéj licu żadnego śladu, prócz wzniosłego i czułego wyrazu. Jéj duchowa potęga jaśniała w całéj świetności, lubo unużona w jéj oczach. Była piękną, piękniejszą niż kiedykolwiek, i w tém nawet, że poszła za własném natchnieniem, które często najlepiéj kobiecie doradza, — zastósowała swój ubiór do własnych uczuć. Suknia jéj biała atłasowa w kwiaty, perły na szyi, u nich maleńki krzyżyk, mantyla jakby blado-różem owiana, nadawała jéj postaci pewien rodzaj przeobrażenia, któremu oprzeć się trudno. Czuła i wiedziała to, że chwała piękności nad nią się unosi, i ta wiedza właśnie zapewniła jéj przewagę. Skoro siadła obok jenerałowéj i powiodła szybkim wzrokiem po towarzystwie, głos tajemniczy wewnętrzny kazał się jéj dorozumiewać, iż jéj imie zawisło cotylko na ustach przytomnych, bo cisza uroczysta towarzyszyła pierwszym jéj krokom i tém więcéj uderzająca, iż muzyka w sali podwajała jéj znaczenie. Jéj odwaga otrzymała nowego bodźca; pogarda, ów najmocniejszy środek siły, tryskała tylko z jéj ducha na przeciwników; naprzód pojawiła się w ironicznym uśmiechu i wzniosła się aż do pełnéj wesołości. Tak powitała wszystkich znajomych! tak poczęła wpływać na rozmowę toczącą się — otoż zwrotna, tryumfująca nad towarzystwem kobieta! — potém wspomniała o mężu, iż go na chwilę wstrzymały zatrudnienia i mało ma nadziei, by za nią pospieszył. Trudno opisać wrażenie, jakie się malowało na twarzach przytomnych. Przybycie tak ujmującéj osoby położyło koniec złośliwym uwagom, wszyscy przyznać jéj musieli pierwszeństwo; u kobiet dojrzałbyś niechęć, na twarzach mężczyzn widać pomieszanie, jakby przypomnienie rozmowy niedawno prowadzonéj, niedozwoliło im wrócić do dawnéj naturalności. Ta chwila jednak zamieszania niedługo trwała, wszystko wróciło do dawnego spokoju i cała drużyna im więcéj była przeciw Antoninie, tém chętniéj ją teraz otaczała swém gwarném przymilaniem się. Siwicki prawie pół wąsa sobie naderwał, zanim śmiał do niéj przybliżyć się. Ona odpowiadała grzecznie, to go więcéj zmieszało. A niewiedząc jak pokryć pomieszanie, udał się do wybiegu rozpacznego i poprosił ją do tańca. Przyjęła wezwanie, wstała, i pod rękę prowadzona weszła do salonu, w którym tańczono.

Tu parę razy przetańczyła, a pojrzawszy po kole towarzystwa i pozdrowiwszy z uśmiechem tu i owdzie znajomą parę, zapytała Siwickiego o kilka osób, które jéj były nieznajome. Tą otwartością ujęty, nabrał dawniejszéj lekkości kawalerskiéj, i odpowiadał na zapytania z taką dokładnością i znajomością szczegółów, iż Antonina nieraz zręcznym zwrotem rozmowę na inne przedmioty zwracać była przymuszoną. Lecz niebyło osoby, niebyło stósunków, którychby Siwicki nieznał, był to prawdziwy dyplomata salonowy. Przyszła też koléj w tym przeglądzie salonu na pannę Mielinską. Tę po imie-

niu nazwał, ale pamiętając na ranne zdarzenie, niedługo zatrzymał się z uwagami, przechodząc nagle bez wezwania do innych. Ale Antoniny ciekawość właśnie tém zadrasnął. Zrana niedojrzała jéj rysów i dla tego niepoznała jéj w salonie. Teraz serce zadrzało Antoninie z saméj ciekawości. Bytność panny Mielińskiéj w mieście i oddalenie się tak nagłe Władysława, wzbudziło w niéj podejrzenie. Pomyślała sobie: czyli dwa te zdarzenia niezostają z sobą w styczności? Lecz jak się w téj chwili przekonać? Cóż go spowodować mogło do odmienienia życia, do którego dotąd był nawykł? Czyliż podobna, aby tyle był niezręczny w szukaniu sposobu widzenia się z nią? Trudno pogodzić i opuszczenie nagłe domu, i nieprzybycie na czas do towarzystwa! Przypomniała sobie imie Bystrzanowskiego. Na niego więc starała się zwrócić uwagę Siwickiego, by i o nim tyle był wymownym, co o drugich. W tym też zamiarze rzekła:

»Czuję to bardzo, jak świat mi jest obcym, odkąd żyję utajona w domu moim. Wszędzie nowe postacie i nowe twarze. Jak przykro wspomnieć, iż tak szybko zmieniają się główne rysy naszych towarzystw! Któż to jest ów młody mężczyzna, stojący naprzeciw nam i tak zamyślony?«

Siwicki nadzwyczaj się ucieszył, iż mu się nowe pole otwiera do rozmowy. Tłumaczył sobie grzeczność Antoniny jako afektujący kawaler, i porównywał z tą grzecznością nieobecność Władysława. Pomyślał sobie: Władysław dotąd nigdy nieodstępował swéj żony, teraz nieprzyszedł z nią, zapewne zaszło jakieś nieporozumienie między nimi. Zapewne mu oświadczyła, że ją nudzi zazdrością i dla tego uda się dziś na wieczorną zabawę. A jako kobieta niedługo namyślająca się, wykonała swój zamiar prędzéj, aniżeli się mógł spodziewać. Tak, ona jest bardzo grzeczna i względna na mnie! Stara się naprawić złe, które nam zrana wyrządziła. Niepoznaliśmy się na sobie. Rzecz do namacania, iż szuka nowych sympatyi. Udało się Władysławowi, uda się i drugim. Póty kuj żelazo, póki gorące. Na honor, śliczna kobieta! Biedny Władysław!

Te przeleciały mu myśli po głowie i głośno odezwał się:

»Prawie rozpaczam, iż więcéj powiedzieć pani niemogę, nad to, iż ów marzący młodzian jest obcy, a jeżeli się niemylę, wprowadzony przez Zielniewicza lub Bystrzanowskiego, zapewne przez pierwszego, bo Bystrzanowskiego tu niemasz, dziwno, gdzie on przebywa.«

»Ja rozumiem, iż pan Bystrzanowski jest znajomym mojego męża,« rzekła Antonina, niemogąc ukryć lekkiego drżenia, bo uczuła się bliską celu, dla którego właśnie odwiedziła towarzystwo.

»Tak jest, rzekł Siwicki. Bystrzanowski żył w zażyłości z Władysławem, niejedno łączyło ich zdarzenie. Wczora wrócił z podróży dalekiéj. Ale zapomniałem też pani wspomnieć o pannie Alexandrze, sławnéj śpiewaczce, która dziś do naszego miasta na chwilę przybyła. Przypominam sobie, iż Bystrzanowski w niéj się kochał. Ta będzie przyczyna, dla któréj dzisiaj do nas nieprzybył! Przebacz pani, żem mógł o tém przepomnieć!«

Te słowa oświeciły duszę Antoniny, lecz jak okrutnie! Chciała w siebie wmówić niepodobieństwo, aby Władysław dla téj kobiety mógł zniszczyć jéj sny o szczęściu, ale głos wewnętrzny z naigrawaniem potwierdzał jéj podejrzenia. A chociaż tylko słyszała o Bystrzanowskim i Aleksandrze, przeczucie jednak mówiło jéj, że i Władysława nieobecność stąd bierze początek. Walka tych wszystkich uczuć, tego przeczucia, którego sobie wytłumaczyć nie mogła, téj dumy i przekonania, iż niepodobna, by jéj czysta miłość miała paść ofiarą takiéj kobiety, wrzało to wszystko w jéj głowie. Połysk światła przepływał przed jéj oczyma jako morze ognia, muzyka i tańce szeleściły słowami złéj wróżby. Rysy osób wyciągały się w jéj oczach na olbrzymie postacie, migocące po ścianach sali, pochwyciła więc za ramię Siwickiego i trzymała się go konwulsyjnie, bo czuła się bliską omdlenia. Ale w téj chwili wszystko znikło, wszelka pomroka opadła, wszystko błogo zajaśniało, bo ujrzała swego Władysława jak stanął w progu, jak pozierał po towarzystwie przez lornetkę.

Siwicki uczuł ściśnięcie konwulsyjne Antoniny, zaledwie był w stanie wstrzymać się od radosnego wykrzyknienia: »Wygrałem! Znam uściśnienia ręki kobiecéj! Ona jest moją!«

Nadzieje Władysława niespełniły się w godzinach popołudniowych, tak jak był zamarzył. Niezapomniał on wśród towarzyszów, obok Aleksandry, o Antoninie. Jéj obraz, głos, jéj spojrzenia zanadto mu w pamięci utkwiły. Mile go przyjęła Alexandra, ale nieowładła bynajmniéj, bo sama myśl »co na to powie Antonina«, dreszczem go przejmowała. Chciano go gwałtem do wesołości przymusić, owego dawniéj wesołego, śmiałego hulaka, a teraz skromnisia, marzyciela. Aleksandra zimnotą jego obrażona, rzucała zgrabne uwagi o małżeństwie; szampan rozwiązał przytomnym języki, zaczęto jéj dopomagać do żartów. Opowiadano wszystkie zdarzenia, które zaszły od czasu ostatniego jéj wyjazdu. Ona wzajem pytała o osoby, które dawniéj poznała, o któ-

rych wiedziała wiele tajemnic familijnych. Wszystko to przelatywało w lekkich zarysach, jak w panoramie; a rzeczy zbyt płoche stanowiły tam osnowę rozmowy, którą dorzucone słówko, wiele znaczący uśmiech i zapytania ze strony Aleksandry jeszcze swawolniejszą czyniły. Władysław pozostał obcym téj rozmowie. Lubo zdawała mu się powaga Antoniny czasami nudna, to teraz przekonał się, ile rozmowa z nią prowadzona wyższą była od owéj płochliwéj, swawolnéj, lekkomyślnéj, którą tu słyszał, a którą tylko złośliwość, podejrzliwość i oczernianie odznaczały. Aleksandra zaczęła spijać szampana, to go zaczęło razić, jéj piękność zblakła od téj chwili w jego oczach. Porównywał z nią łagodne, miłe rysy Antoniny, w które im więcéj się wpatrywał, tém słodsze, tém spokojniejsze, tém szczęśliwsze owiewało serce jego uczucie. Prawda, że niemógł powściągnąć panującego w tém towarzystwie szału, wzmagającego się z każdą chwilą, ale go też wzajem nieśmiał nikt zaczepić, ani jego stósunków małżeńskich. To go też tak długo zatrzymało u nich, równie jak obawa, aby niebył znaglony wcześniéj odegrać roli pokutującego. Sam niewiedział, czyli ma sobie czynić wyrzuty, że uległ ponętom namiętności, — czyli też uważać się zaspokojonym, iż wypowiedział Antoninie wszystko, co myślał. »Ale co ona teraz powie? Jak mnie przyjmie, przywita?« To były pytania, które sobie zadawał, bawiąc jeszcze u Aleksandry. Zaledwie ona siadła do pojazdu, a koła zaturkotały po bruku, odetchnął swobodniéj i wrócił szybko do domu. Zdawało mu się, iż tam zastanie Antoninę. Na wiadomość, iż o saméj osméj godzinie odjechała na zabawę wieczorną, nadzwyczaj się zasmucił. Niemógł sobie wytłumaczyć, dla czego wolałby ją zastać w domu, aniżeli w towarzystwie, lubo ją do tego kroku prawie znaglił. Pobiegł więc za nią czémprędzéj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

List z nad brzegu Renu.

z Kolonii.

Owoż jestem w Kolonii. Muszę sobie trochę, pisząc do ciebie, odpocząć, muszę się trochę uspokoić, bo mi się prawdziwie w głowie przewraca. Żebyś ty wiedział, żebyś mógł wiedzieć mój ty Mazurze, mój ty kochany Piaskowcze, gdziem ja był, com ja widział!... O! żałuj, żałuj, że niepodobna, że ani myślę tego ci opisywać. Niemoja wina. Góżby ci z tego przyszło, choćbym tu wysypał wszystkie, ile ich tylko jest w naszym języku przymiotniki: piękny, śliczny, wspaniały, czarowny, cudowny, zachwycający, niezrównany i t. d., to wszystko niedałoby ci najmniejszéj rzeczy brzegów Reńskich poznać, nieprzeniosłoby w ciebie ani jednego tego wzruszenia, jakich ja tam doznałem. — Wstawszy jednak od uczty wielkiéj, rzucę ci biedakowi, ponieważ chcesz, parę okruszyn, choćby tylko na pokazanie dobrego serca. Wybiegłszy z ogrodu roskosznego, i pełen jeszcze upojenia wszystkich zmysłów, wynoszę ci jeden listeczek, jednę małą trawkę bez woni, bez koloru, choćby tylko na przekonanie, że tam byłem.

Z Frankfortu wróciłem do Moguncyi; z Moguncyi puściłem się znowu statkiem. Wypłynęliśmy rano, a w wieczór stanęliśmy w Kolonii. Przedewszystkiém z góry zaraz masz wiedzieć, iż wszystkie tego kraju opisy są wyraźnie na to robione, żeby ludzi zwodzić. Wszystkie pochwały Renu od Strazburga aż do Moguncyi — zupełnie przesadzone, i na całą milę wyżéj prawdy; wszystkie zaś jego pochwały od Moguncyi do Koblentz, są na sto mil niżéj prawdy, i niedają o nim żadnego wyobrażenia. Alboż ja sam podług nich niewystawiałem sobie zawsze, że jest to kraj jak wszystkie inne, tylko daleko piękniejszy?... Że jest to kawałek téj saméj ziemi, na któréj wszyscy mieszkamy, którą wszyscy depczemy, a którą każdy wiek, każde pokolenie po swojemu i w właściwą sobie suknią ubiera?... Otoż bajka największa! Jest to kraj do żadnego niepodobny; jest to sen na jawie; jest to najpoetyczniejsza pod słońcem ballada, legenda, napisana górami i ruinami; jest to cząstka świata ukryta, gdzie żaden z kilku ostatnich wieków nogą prawie niepostał, a przynajmniéj na któréj żaden niezabił, niezatarł czasów, w jakich się rodziła i życiem brzmiała, czasów krucyat i rycerstwa!

Minąwszy pałac książąt Nassauskich (Biberich) i rozległy nad samą rzeką ogród, czujesz zaraz po wszystkiém na co spojrzysz, żeś wjechał w jakieś strony insze, i ze świata znanego, powszedniego, wkrótce się gdzieś przeniesiesz. Z przeproszeniem Nassauskich książąt, w takim kraju, w takim mówię ogrodzie zakładać ogród, jestto już kompletny i bardzo kompletny zbytek. Krajobraz się zmienia, bogaci; wzgórza zaczynają się rozmaiciéj poruszać, bardziéj do ciebie przybliżać, od brzegów jednak widok jeszcze rozległy; prawa strona ciągle piękniejsza. Ludność, widać, coraz się tu gromadniéj cisnęła; winnice ciągną się już bez przerwy; wsie, miasta, coraz gęstsze; stare jakieś mury, reszty jakichś baszt, coraz częściéj tu i owdzie; — ale to

wszystko trzyma się jeszcze poziomu, nieskacze jeszcze w powietrze. Ren, obmywając od czasu do czasu zielone wyspy, co na łoże jego wybiegły, rozlewa się wreszcie (od Rüdesheim) jakby spokojne, szerokie jezioro... aż nagle i niespodzianie bierze się gwałtownym zwrotem w prawo, — i jesteś już w zupełném oczarowaniu!

Rzeka wpadła między dwa zastępy gór; te tak ku sobie zbliżone, że nieraz ledwo ma miejsce przebić się z całą swą wodą. Góry wysokie, strome, zasłaniają wszystko; świata, na którym żyć przywykłeś, którego dotychczas byłeś mieszkańcem, nigdzie już tu nieujrzysz, — zapomnij o nim; nieżałuj! Nad głową sterczą skały, wiszą ruiny, zielenieją winnice; wyżéj niebo, niżéj Ren, — nic więcéj!... Człowiek i natura uparcie się tu z sobą spierają; najmniejszy punkcik ziemi radziby sobie wydrzeć nawzajem. On i tam, gdzie już szczera i goła skała, chciałby jeszcze wymusić ręką i potem swoim jaką krzewinę, jakieś ziarno, byle tylko czémkolwiek i jakkolwiek dłużéj siebie przy tych roskosznych miejscach wyżywił; ona, chciałaby tę jednę przynajmniéj, tę jednę małą okolicę, wybraną i ukochaną, mieć w wolném swojém posiadaniu, żeby podług upodobania mogła się nią cieszyć i rządzić, mogła ją ubierać jak zechce, to w białe kwiatki i murawy, to w siwe głazy i mech; i niechciałaby tu wpuścić człowieka, chyba poetą, malarzem, kochankiem! Góry w ciągłym są ruchu, w coraz odmienne układają się obrazy. To skaczą wprost, jak fontanny; to się zastawiają od twego oka jak tarcze wypukłe, jak gdyby zamków, co na głowach im siadły, bronić przed tobą chciały. Tu pną się w piętra jedne na drugie, wiążą się w węzły, ściskają, i w powietrzu sznurem pobiegły, tam opadną, przysiądą ku ziemi, albo nawet w wązki przesmyk się rozstąpią, żeby pokazać, że i po za niemi jeszcze tenże sam kraj czarowny. Czasem od wierzchu skała jakaś jedna i druga piaskiem się otworzy, wysypie; i stacza go szerokim, białym potokiem po zielonych ścianach góry aż do rzeki. Na prawo i na lewo patrzą wciąż na ciebie wspaniałe ruiny zamków, klasztorów. Gdzieniegdzie wdarł się już tam nanowo człowiek; w zwaliskach tych jakieś sobie gniazdko ulepił, — i drobną, nędzną lepiankę, z łaski kilku dawnych kamieni stojącą, przezywa także zamkiem, pałacem. W innych mieszkają tylko wiatry i ptaki, przechadza się cień dawnych czasów, trawa buja, drzewa porosły. Czasem skalistą ścieszką widać, jak pnie się jakiś żebrak. Usiadłszy na gruzach, będzie czekał podróżnego. Więc gdzie baron dumny, gdzie cały ród jego, z pokolenia w pokolenie, w chwale i sławie królował, gdzie mnogie warty czuwały, brzmiały turnieje i uczty, — zajękła z starych, rozleciałych pustek pieśń dziadowska, i ponurém echem spadła do ciebie na wodę! O nazwiska tych miejsc niepytaj się; wszystkie prawie przykre dla ucha i ciężkie do wymówienia. Lepiéj raczéj dowiadywać się, jakie są o nich podania, jakie legendy; bo domyślasz się zapewne, że tu co zamek, co ruina, to jakaś bajka, jakaś powieść; — i gdzieżby umysł ludzki miał poetyzować, jeżeli nie w takim kraju. Na próbę powiem ci jednę; posłuchaj:

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Uczęszczanie Polaków za granicę, w XV. i XVI. wieku.

a) korzystne.

Na pobranéj w kraju nauce nieprzestawano, lecz kończono ją za granicą, idąc w dalszém następstwie tego, czego się nauczono w domu lub w szkołach. Tenczyńscy, Leszczyńscy, książęta Zbarascy, uczyli się w Padwie matematyki pod Galileuszem [1]). Floryan Zamojski, chorąży chełmski, wysłany do Niemiec, do Niderlandów, Francyi i Włoch, przybrał sobie czterech professorów, do krasomowstwa, do filozofii, prawa i matematyki. Krzysztof Sapieha w Niderlandach i w Ingolsztadzie uczył się krasomowstwa, historyi i filozofii. W Lowanium słuchał on polityki pod sławnym Puteanem i stopień doktoratu otrzymał, sam broniąc dysputy filozoficznéj bez niczyjéj pomocy. Religijnym duchem tchnąca młodzież ćwiczyła się w pokorze i pobożności, umywała ubogim nogi we wielki czwartek, gdyż jeszcze w domu będąc do takich nawykła uczynków [2]).

[1]) Sołtyk str. 441. [2]) Hieron. Makowski i Olszewski w kazaniach *na pogrzebie Floryana Zamojskiego* i *grono winne.*

b) lekkomyślne.

Pięknie powiedział lichy jeden wierszopis [1]): »Nasza młodzież jadąc za granicę głupia, powraca takąż«; zaczém zmierza w termin onego wierszyka:

Posleśli do Paryża osielkiem glupiego,
Jeśli tu był oslem, tam niebędzie koń z niego.

Lekkomyślni rodzice wyprawiając za granicę nieuków synków, kosztowne do téj podróży czynili przygotowania. Ze swojéj strony dawał ojciec, a ze swojéj matka. Tamten potrząsał worków, przebrał bochnary [2]), i z pomiędzy nich wybrał dla synka

same talary, które zagraniczni wielce cenili. Od siebie dała synaczkowi matka, co zebrała z własnych dochodów, mianowicie z nabielnego (za nabiał), a wtykając mu worek z pieniędzmi w rękę, niekazała o tém nic powiadać przed ojcem. Pojechał synek do Rzymu, do Francyi, do Lipska, do Witemberga, do Hallis (Halli?). A ponieważ się w domu nauczył próżnować, więc i tam na samych fraszkach czas przepędzał. Całą korzyść z naukowéj swojéj wyprawy odniósł tę, że przywiózł do Polski perfumowane rękawiczki i nauczył się obcych tańców; że zatknął za czapeczkę piórko, które wyrwał za granicą z ogona kogutowi i czub głowy niém przystroił; że umiał opowiadać, jaką barwę noszą za granicą knechtowie; albo przeuczywszy się u Niemców, umiał szydzić z polskich księży i z religii przodków [3]). Nienawyknąwszy w kraju do poważnéj rozmowy z mądrymi ludźmi, i obcując w Niemczech li tylko z karczmarzami, z rzemieślnikami i prostakami, we Francyi z żakami, we Włoszech z figlarzami i zwodnikami; miał w darze i zysku: od Niemców gburowatość i przeważną (obcą) wiarę, od Niderlandczyków konterfety (obrazy), od Francuzów lekkomyślność i pachnidła, od Włochów przewrotność i kuglarstwo [4]). Po niewczasie żałował tego ojciec. Na przyjazd syna dawszy biesiadę, cieszył się naprzód, jak z mądrym sąsiadem synal o głębokich rozumach rozmawiając, pokaże światu, co umie. Lecz jakże się zawstydził, gdy spytany synek, czegoby się za granicą nauczył, odpowiedział, że się nauczył jurem. »A zły synu, odrzekł na to z żałością ojciec, ja cię tam nieposłałem, byś się uczył jurem i był ju..., ale żebyś się uczył, a niebył durny [5]).

[1]) Giżycki w kazaniu *na pogrzebie Janusza Korybuta Wiszniowieckiego.* [2]) Bonary, za podskarbiego Bonara podczas panowania u nas Zygmunta I. z dobrego srebra bite pieniądze. [3]) Rej, Żyw. 24., Wiz. 90., rozmowa I. z roku 1553. [4]) Radowicki w kazaniu *prawy ojcowic.* [5]) Trztyprztycki.

W. A. Maciejowski.

Sposoby domowe ku wygodzie i pożytkowi.

Domowe gospodarstwo.

O owocach.

Niektóre owoce dojrzewają na drzewach, a zerwane, niedługo dają się przechowywać, inne z drzewa zdjęte, dochodzą dojrzałości w porze zimowéj i dobrze się przechowują. Pierwsze są kwaskowosłodkie, miernie ochładzające, wodniste i rozwalniające, te zaś odznaczają się trwałą soczystością.

O wszystkich w ogólności powiedzieć można owocach z drzew zerwanych, iż gorączkę we febrach zmniejszają, ochładzają, orzeźwiają i gaszą pragnienie, soki rozrzedzają, żółć poprawiają, wstrzymują zgniliznę, otwartym czynią żołądek, a mało sycą.

Jabłka (pyrus malus) według gatunku, do którego należą, zawierają części gumowe, klejowate, mączkowe, cukrowe, kwas jabłeczny w rozmaitych stósunkach, i mają własność chłodzącą, orzeźwiającą, rozwalniającą łagodnie, tłumią drażliwość skóry, czyszczą krew i mało posilają. Dojrzałe i kruche, świeże, ostrugane i z pestek oczyszczone, na polewkę zgotowane, lub też użyte na kompot, ocukrzone, lub upieczone, mogą być w chorobach z wielkim pożytkiem jedzone, szczególniéj we febrach żółciowych, zapaleniach, zgniłych dyskrazyach. Surowe jednak niesłużą choremu, bo sprawiają wzdęcie.

Gruszki (pyrus communis) w dojrzałym stanie mają części miękciejsze i soczystsze, niż jabłka, dla tego więcéj wzdymają i surowe nietyle są zdrowe, co jabłka. Gotowane lub prażone świeże gruszki, dodawszy do nich cokolwiek wina lub korzeni, szczególniéj cynamonu lub anyżu, tracą te rozdymające własności i są w chorobach chłodzącym, soki odświeżającym i żołądek rozwalniającym łagodnie pokarmem. Pieczone gruszki są szkodliwe dla chorych, ulegających łatwo zatwardzeniom żołądka.

Pigwy (pyrus cydonia) chociaż dojrzałe, nie są zdrowe, dla ich smaku drętkiego i ściągającego i w nich zawartego garbnika; w połączeniu z innym owocem, doprawione cukrem i korzeniami, a szczególniéj w cukrze osmażane, odznaczają się własnościami orzeźwiającemi, posilnemi i wzmacniającemi, i dla tego w chorobach, a szczególniéj biegunkach, są przydatne, szkodliwe przy zatwardzeniach żołądka.

Brzoskwinie (amygdalus persica), jeżeli nie zanadto dojrzałe, obłupane ze skórki, czy to surowe, czy prażone, czy też osmażane, stanowią pokarm chłodzący, posilający i rozwalniający i dla tego stósowne w chorobach, a szczególniéj u osób pełnych żółci. Jednak miernie ich tylko używać należy, bo sprawić mogą biegunkę i zaszkodzić choremu.

Aprykozy (prunus armeniaca) w właściwym stopniu dojrzałości tak świeże, jak suszone w piecu, w kompucie lub na zupę zgotowane, są w chorobach pokarmem przyjemnie chłodzącym i orzeźwiającym.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Grób Napoleona. Czytając wiele mylnych wiadomości o grobie, w którym zwłoki Napoleona złożono na wyspie Śtéj Heleny, nie od rzeczy będzie pokrótce namienić tu kilka pewnych podań. Napoleon umarł 5. Maja 1821. o 6téj godzinie popołudniu w Longwood; nazajutrz zdjęto z jego twarzy odlew gipsowy, potém złożono serce jego w naczyniu srebrném, wyskokiem winnym napełnioném, żołądek zaś w drugiém naczyniu; oba szczelnie zamknięto. Ciało Napoleona obleczono w mundur pułkownika gwardyi strzelców (zielony z czerwonemi wyłogami), w pończochy, spodnie z białego kazimirku, białą kamizelkę, białą chustkę na szyję, a na nią czarny, w tyle zapięty krawat, w parę bótów długich z małemi ostrogami, i nakoniec wsadzono mu kapelusz trzyrogaty. Na piersiach połyskiwał krzyż legii honorowéj i korony żelaznéj, przy lewym boku złożono szpadę jego, a na piersi krucyfix. Tak był przez trzy dni wystawiony; 8. Maja złożono go w trumnę z białéj blachy na materac i poduszkę, jedwabiem powleczone. Kapelusz zaś dla tego, że niemógł się zmieścić, złożono na nogach. Nadto włożono w trumnę blaszaną kilka cesarskich orłów i pieniędzy, podróżny sztuciec, talerz zdobny cesarską pieczęcią wraz z innemi drobiazgami, poczém zamkniętą tę trumnę i opieczętowaną włożono w drugą z drzewa akacyowego, tę zaś w trzecią ołowianą. Ostatnią zaś znowu w trumnę czwartą akacyową, i opatrzono ją śrubami żelaznemi i zapieczętowano. Ostatnią trumnę osłoniono granatowym płaszczem, który Napoleon nosił w pierwszych swych kampaniach i tegoż d. 8. Maja pochowano go. Ciała jego nie nabalsamowano dla braku rzeczy do tego potrzebnych. Na grób wybrano miejsce na milę oddalone od Longwood, o którém lubił wspominać Napoleon, lubo je tylko raz zwiedził. Tam wytryskiwała czysta woda, którą często pijał, źródło zaś ocieniały dwie wierzby płaczące, których gałęzie wówczas romantycznie nad wodą się owieszały, a teraz tworzą małą dziczyznę. W małéj odległości od tego źródła jest grób czworoboczny, szerszy przy wnijściu niż w głębi, na 12 stóp pod powierzchnią ziemi. Trumna spoczywa na dwóch grubych drewnianych podwalinach w takiém położeniu, iż ciało zmarłego ku wschodowi — Europie — jest zwrócone. Ogromna płyta kamienna, którą Napoleon chciał użyć do zaprojektowanego pałacu swojego, stanowi wieko grobu. Spoczywa zaś na murze okrągłym, otaczającym ściany grobu i jest za pomocą wapna z nim powiązana. Grób ten opasano żelazną kratą na 6 stóp wysoką w kształt owalny i niedaleko od niéj urządzono odwach na 12 żołnierzy i oficera, aby ciągle dwóch żołnierzy dawało baczność na grób; po kilku jednak latach okazała się ta ostrożność zbyteczną i odwach zniesiono. 27. Maja 1821. siedli wszyscy przyjaciele i słudzy Napoleona na okręt i udali się do Europy. Pomimo lat 19 od owéj pory, wyjąwszy trzech, pozostali jeszcze żyją. Do zmarłych towarzyszów cesarza liczą ks. Vignali, którego we własnym domu w Ajaccio rozbójnik zastrzelił, starego i uczonego Las Casesa, zmarłego w Offenbach, i doktora Antommarchi, zmarłego na żółtą febrę na wyspie Kubie.

Lwy w dawniejszych czasach. Historya lwów (lions), o któréj wspomnimy, niedotyczy króla zwierząt, lecz króla mody. Wyraz ten pochodzi z Anglii i oznacza tego, który przez czas niejaki potrafi uwagę na siebie ściągnąć i zatrudnić towarzystwo. Les lions we Francyi przeciwnie są książętami Dandysostwa, kwiatem mody. To znaczenie od trzech wieków znajome jest we Francyi; przejęła je Hiszpania za czasów Filipa II., a Włochy za czasów świetnych Wenecyi i Florencyi. Z Francyi przeszło do innych krajów. Pierwszym i najznajomszym angielskim Dandy był Brummel, późniéj Ball i Nash. Dawniéj nazywano Dandych w Anglii macaronis, a jeszcze dawniéj beaux. — W 16tym wieku pod Karolem IX. i Henrykiem III. nazywali się lions: raffinés; byli to młodzi zniewieściéli towarzysze dworu Katarzyny de Medicis, którzy do Francyi przybyli i naśladowali miękich Włochów; nakrapiali się rozmaitemi essencyami, począwszy od rękawiczek aż do brody, od włosów aż do trzewików. Późniéj zwano ich mignons. Każdy książę miał swoich; nic niemożna porównać ze zbytkiem ich ubiorów i często zdarzało się, że mignony króla, książęcia d'Anjou i książęcia de Guise pojedynkowali się między sobą o kształt biretu lub wielkość kryzy. Henryk III. czule wspominał mignonów swoich, poległych w pojedynkach, i stawiał im pomniki marmurowe, i dla tego mówiono u dworu, mając na kogo urazę: »ja go w marmurze wyrąbię.«

Pod Ludwikiem XIII. i Ludwikiem XIV. nastali petits maîtres i beaux i to były lwy owych czasów. Widziano ich w salonie u Ninon i w buduarze u Marion Delorme. Prawdziwy natenczas lew był młody Cinq Mars, który prowadzony na rusztowanie był ubrany w nowy gustowny ubiór, chcąc, jak mówił, pięknie ukazać się tam ubranym, gdzie najpiękniejsze kobiety miasta na niego wyłącznie zwracać będą uwagę, i tak jak żył, z gracyą umrzeć. Bussy-Rabutin opisał dzieje lwów pod Ludwikiem

XIV. i za to osadzono go w bastylii; Molièr wystawił ich w Markizach swoich.

Roués byli lwami rejencyi, towarzyszami rozwiozłego księcia Orleanu; opilstwo, tabaka i rozpusta należały natenczas do dobrego tonu. W tém kole kształcił się młody książę Fronsac, znany póżniéj jako książę Richelieu, najsławniejszy lew na dworze Ludwika XV. i przez sześćdziesiąt lat dziwił Europę swemi głupstwami, elegancyą i rozrzutnością. Prawdziwym był lwem ów człowiek, który w Wiedniu wjazd odprawiał na czele dwunastu pojazdów sześciokonnych; konie zaś były tak lekko podkute, iż wszystkie swe podkowy ze srebra pogubiły.

Lwem w swoim rodzaju był biskup Auteński, Talleyrand, który w czasie rewolucyi typu wielkich panów nabrał i ukształcił jedynego lwa ubiegłych czasów, sławnego Montrand, owego Lauzena dyrektoryatu i cesarstwa, który przez lat trzydzieści w Paryżu trzymał berło mody w swoim ręku. On posłużył Vernetowi za model w jego niedowiarkach. Karol Vernet był całe życie także lwem i sławny syn jego Horacy Vernet, odziedziczył po nim sławę dandyzmu. On i Vicomte de la Rochefoucault są ostatniemi lwami z czasów rewolucyi.

Mody. — Paryż, dnia 12. Sierpnia 1840. Żądasz opisu kilku zupełnych ubiorów, nic łatwiejszego nad to. O ubiorze zaraz po wstaniu z łóżka niemówię, bo zawsze jeszcze ten sam biały z bufkami muślinowemi, lub z kolorowego jaconas w prążki.

Póżniéj na ranną przechadzkę lub przejazdkę w powozie, szlafroczek ze szkockiego jedwabiu, z przodu osadzony w trzy rzędy guzików szmuklerskich, które w kształt fartuszka po powłoce aż do stanika się wznoszą, a stąd po staniku w kształt wachlarza. Stanik jest gładki z przodu i z tyłu, rękawy półobcisłe. Mantyla z haftowanego poux de soie, strojna w zęby wycinane z téj saméj tkaniny. Kapelusz z szytéj słomy zdobny zielonym aksamitem.

Ubiory na wieczorne przechadzki powinny być wytworniejsze. Suknia organtynowa w jasnym kolorze, o trzech falbanach osadzonych koronkami; biały, elegancki i haftowany canezou orzucony alęsońską koronką; mantyla z białego jedwabiu ugarnirowana angielskiemi koronkami i ujęta w białe wstążkowe kokardy; kapelusz ryżowy w koronki strojny i z słaniającém się piórem.

Stara moda nanowo się ukazała, ale ta bynajmniéj niemoże się podobać. Są to wysokie grzebienie, najbrzydszy jaki być może wymysł. Choćbyś go złotem, kameami i koralami przyozdobił, zawsze pozostanie on mojém zdaniem strojem bardzo nie do twarzy kobiecie, i ujmującym ów urok klasyczny, do którego się teraźniejszy strój głowy zbliża.

Przeciwnie chwalę i polecam piękne rękawiczki bez palcy ze skóry kolorowéj, osadzone małemi tulowemi ząbkami; nic piękniejszego nad tę ozdobę ręki, przy półkrótkich rękawach u przezroczystych sukien.

Paryż w tych dniach tak licznie się zebrał w teatrze, jak porą zimową. Taglioni wróciła, wystąpiła w teatrze po pierwszy raz, i ta jest przyczyna tak licznego towarzystwa. Kolor ubiorów był po większéj części biały. Muślin i koronki jak najświeższe. Wspomnę tu szczególniéj o pięknych ubiorach fantazyjnych. Spencerek aksamitny o trzech rzędach guzików i z rękawami obcisłemi, stanik podobny do amazońskiego, kołnierz koronkowy, gładko na ramiona wywinięty, podobne mankietki wyłożone na wiązadła rękawów, na których 5 guzików, takich samych jak u stanika. Stanik ten dochodząc do powłoki, niekończył się na niéj, ale przechodził po za ujęcie, i tam zaokrąglał się na biodrach. Nic niemasz przyjemniejszego nad taki stanik lub spencerek z czarnego, ciemno-zielonego lub granatowego aksamitu, na powłoce z białego muślinu.

Kolor biały, jakeśmy rzekli, przeważa i to z naturalnych przyczyn, gdyż bielizna jest celem, życzeniem wszystkich, co się chcą elegancyą odznaczyć.

Od czasu, jak straciły powab koronki, zagęszczają się hafty, to u falban, peleryn, to u canezous i szalów muślinowych. Niezaniechano przecie zupełnie koronek, oszywają niemi zasłony, szale, kołdry, obrusy i t. d.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz krepowy, suknia z mory.
2. Kapelusz piórem zdobny. Suknia do wyjścia na miasto.
3. Strój głowy à la reine, bertka i burnus organtyną bramowane.
4. Ubiór na polowanie. Tużurek i angielskie letnie pantalony.

Oświadczenie. **Ponieważ wielu z szanownych Prenumeratorów jeszcze się dotąd nieuiściło z przedpłaty za ubiegłe półrocze Dziennika domowego, przeto redakcya wzywa jak najuprzejmiéj, aby zaległość tę na jéj ręce tu do Poznania, przy ulicy Sto-Marcińskiéj No. 78., przez pocztę we frankowanych listach przesłać raczyli.**

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner. sc.

33.